

MISTRZ ROMANTYCZNYCH HISTORII

# NICHOLAS SPARKS POWRÓT

*Fani Sparksa będą zachwyceni,  
a nowi czytelnicy natychmiast  
zakochają się w jego twórczości!*  
„Northern Virginia Magazine”

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE RETURN

Copyright © Willow Holdings, Inc. 2020  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård 2021

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: © Miguel Sobreira/Trevillion Images (*front*),  
kosolovskyy/Shutterstock.com (*tył*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Thomas Hallman

Projekt graficzny okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Książka dostępna także jako e-book i audiobook  
(czyta Maciej Radel)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

# Prolog

2019

Kościół przypomina alpejską kaplicę, na jaką można się natknąć na przykład w okolicach Salzburga, i wita przybyłych miłym chłodem. Jest sierpień, więc na amerykańskim Południu z nieba leje się żar, tym trudniejszy do zniesienia, kiedy człowiek ma na sobie, tak jak ja, garnitur i krawat. W powszedni dzień zwykle nie noszę garnituru. Jest niewygodny, a poza tym, obserwując swoich pacjentów, przekonałem się, że mam z nimi lepszy kontakt, gdy ubieram się nieco swobodniej, podobnie do nich.

Przybyłem tu na ślub. Znam pannę młodą od ponad pięciu lat, ale zapewne nie powiedziałyby, że się przyjaźnimy. Choć przez dobry rok od jej wyjazdu z New Bern często ze sobą rozmawialiśmy, to potem nasza znajomość sprowadzała się do paru okazjonalnych SMS-ów, raz z jej inicjatywy, raz z mojej. Niemniej jednak bezspornie łączy nas więź, której korzenie sięgają przeszłości. Czasem ledwie pamiętam, jakim byłem człowiekiem, gdy skrzyżowały się nasze losy. Ale to chyba normalne, prawda? Życie ciągle daje nam możliwość obrania

nowej drogi, na której będziemy się rozwijać i zmieniać. Kiedy patrzemy wstecz, ledwie poznajemy samych siebie.

Pewne rzeczy się nie zmieniły – na przykład moje nazwisko – natomiast mam na karku trzydzieści siedem lat i wkraczam na nową ścieżkę zawodową, o której przez pierwsze trzy dziesięciolecia mojego życia nawet bym nie pomyślał. Kiedyś uwielbiałem pianino, teraz w ogóle nie gram. Dorastałem w kochającej się rodzinie, a jednak od dawna nie widziałem się z moimi krewnymi. Są ku temu powody, ale o nich później.

Dziś po prostu cieszę się, że tu jestem i że dotarłem na czas. Mój samolot z Baltimore miał opóźnienie, a potem musiałem stać w kolejce po samochód zamówiony w wypożyczalni. Choć nie zjawilem się jako ostatni z uczestników ceremonii, ponad połowa miejsc w kościele jest już zajęta, wobec czego staram się niezauważenie usiąść w trzecim rzędzie od tyłu. W ławkach przede mną siedzą panie w kapeluszach, jakie widuje się na Kentucky Derby: wymyślnych kompozycjach kokard i kwiatów, które mogłyby smakować kozom. Bawi mnie ten widok i przypomina, że na Południu można w każdej chwili wślizgnąć się do świata, który zapewne nie istnieje nigdzie indziej.

Gdy tak wodzę wokoło wzrokiem, obfitość kwiatów kojarzy mi się z pszczołami. Jak sięgnę pamięcią, pszczoły były obecne w moim życiu. Te nadzwyczajne, cudowne stworzenia wzbudzają we mnie bezgraniczną ciekawość. Dziś doglądam kilkunastu uli – nie jest to takie pracochłonne, jak się wydaje – i stwierdzam, że pszczoły troszczą się o mnie tak samo jak o wszystkich innych.

Bez nich ludzkie życie byłoby prawie niemożliwe, albowiem to im zawdzięczamy znaczną część naszego pożywienia.

Niesamowite, że życie, w formie, w jakiej je znamy, sprowadza się do czegoś tak prostego jak przelatująca z rośliny na roślinę pszczoła. Mam poczucie, że moje mało absorbujące hobby stanowi ważny element w ogólnym porządku świata. Poza tym uprzytomniłem sobie, że to również ule ściągnęły mnie tutaj, do tego kościółka na prowincji, daleko od domu. Oczywiście moja historia – jak każda dobra opowieść – dotyczy zdarzeń, sytuacji i ludzi, między innymi dwóch staruszków, którzy chętnie przesiadywali w fotelach bujanych przed sklepem wielobranżowym w Karolinie Północnej. Ale przede wszystkim mówi o dwóch kobietach, z których jedna w owym czasie była jeszcze młodą dziewczyną.

Kiedy ludzie opowiadają swoje historie, od razu zauważam, że układają je tak, żeby wyjść na głównego bohatera. Sam prawdopodobnie również ulegnę tej pokusie, ale chciałbym podkreślić, że zdarzenia, o których mówię, nadal wydają mi się skutkiem pewnych okoliczności – śledząc bieg wypadków, pamiętajcie, proszę, że za żadnego bohatera się nie uważam.

A co do finału tej opowieści, to myślę, że ślub jest swego rodzaju dopełnieniem. Pięć lat temu nie umiałbym określić, czy przeplatające się wątki mają szczęśliwy, tragiczny czy gorzko-słodki koniec. Co myślę teraz? Tak naprawdę moje wątpliwości tylko wzrosły, ponieważ od przyjazdu tutaj zastanawiam się, czy nie jest tak, że ta kręta historia zatoczyła koło.

Zrozumiecie, co mam na myśli, gdy razem ze mną cofniecie

się w czasie i wrócić do świata, w którym tyle się zmieniło w minionych latach, a jednak nadal jest bliski jak na wyciągnięcie ręki.

# Rozdział 1

2014

Dzień po zamieszkaniu tutaj zauważyłem, że koło mojego domu przechodzi młoda dziewczyna. Przez następne półtora miesiąca widywałem ją kilka razy w tygodniu: człapała nogą za nogą, ze spuszczoną głową i przygarbiona. Długo nie zamieniliśmy nawet jednego słowa.

Przypuszczałem, że jest nastolatką – poruszała się tak, jakby przygniatał ją podwójny ciężar: niskie poczucie własnej wartości i złość na cały świat – ale ja miałem wówczas trzydzieści dwa lata i określenie jej wieku było dla mnie prawie niemożliwe. Poza tym, że ma długie brązowe włosy i szeroko rozstawione oczy, wiedziałem o niej tylko tyle, że mieszka na osiedlu przyczep kawałek od mojego domu i że lubi chodzić piechotą. A raczej przemieszcza się tak z konieczności, bo nie ma samochodu.

Był bezchmurny kwietniowy dzień, temperatura wynosiła około dwudziestu stopni, lekkie powiewy wiatru niosły aromatyczny zapach kwiatów. Niemal z dnia na dzień rozkwitły w ogrodzie derenie i azalie, posadzone rzędem wzdłuż żwirowej drogi okalającej dom mojego dziadka, który niedawno dostałem

w spadku, tuż pod New Bern w Karolinie Północnej.

Nazywam się Trevor Benson i jestem lekarzem z zawodu oraz powracającym do zdrowia weteranem wojennym. Tego dnia rozrzucałem kulki na mole wokół fundamentów ganku, ubolewając, że nie mogę spędzić poranka tak, jak zaplanowałem. Zajęcia domowe mają to do siebie, że nigdy nie wiadomo, kiedy się skończą, ponieważ zawsze znajdzie się coś jeszcze do zrobienia... a ja nawet nie byłem przekonany, czy naprawianie tu czegokolwiek jest warte zachodu.

Cały dom – może używam tego słowa trochę na wyrost – prezentował się nie najlepiej, był wyraźnie nadszarpięty zębem czasu. Dziadek zbudował go sam, po powrocie z drugiej wojny światowej, i choć potrafił tworzyć rzeczy trwałe, brakowało mu zmysłu estetycznego. Dom był w kształcie prostopadłościanu, z gankiem od frontu i werandą od tyłu, miał dwie sypialnie, kuchnię, pokój wypoczynkowy i dwie łazienki. Ściany zewnętrzne, pokryte cedrowymi deskami, z upływem lat nabrały srebrzystoszarej barwy, podobnie jak włosy mojego dziadka. Dach był połatany, okna nieszczelne, a podłoga w kuchni tak krzywa, że każdy rozlany płyn spływał wąskim strumykiem w stronę drzwi wychodzących na werandę. Lubię sobie myśleć, że pozwalało to dziadkowi utrzymywać podłogę w czystości, gdy przez ostatnie trzydzieści lat życia mieszkał tu sam.

Posesja miała jednak wyjątkowy charakter. Na powierzchni prawie dwóch i pół hektara stała chyląca się stara stodoła i pracownia pasieczna – gdzie dziadek pozyskiwał miód – a wokoło rozciągały się łąki kwietne, porośnięte wszelkimi



roślinami, jakie zna ludzkość, przede wszystkim koniczyną i kwiatami polnymi. Od wiosny do końca lata posiadłość przypominała naziemny pokaz fajerwerków. Poza tym płynęła tam rzeka o nazwie Brices Creek, której ciemne półsłone wody toczyły się tak leniwie, że niebo często odbijało się w nich jak w lustrze. W zachodzącym słońcu powierzchnia rzeki mieniła się paletą barw: czerwienią, purpurą, pomarańczem i żółcią, a gasnące powoli promienie przenikały przez firanę opłaty zwisającej z gałęzi drzew.

Pszczoły miodne uwielbiały ten teren, co było spełnieniem marzeń mojego dziadka, który bez wątpienia kochał te stworzenia bardziej niż ludzi. Na posesji stało około dwudziestu uli. Dziadek przez całe życie zajmował się w wolnym czasie pszczelarstwem i często uderzało mnie, że ule są w lepszym stanie niż dom czy stodoła. Po przyjeździe tutaj kilkakrotnie skontrolowałem stan uli i choć dopiero zaczynał się sezon, stwierdziłem, że kolonie są zdrowe.

Rodziny pszczele szybko się rozrastały, jak zawsze wiosną – gdy nadstawiłem uszu, dolatywało mnie wyraźne brzęczenie – więc zostawiłem je samym sobie. Postanowiłem przeznaczyć większość czasu na uporządkowanie domu. Wyczyściłem szafki, zachowując dla siebie kilka słoików miodu i wyrzucając wszystko inne: paczkę zjełczałych krakersów, słoiki z resztkami masła orzechowego i dżemu, torebkę suszonych jabłek. W szufladach było pełno rupieci: jakieś nieaktualne kupony, na wpół wypalone świece, magnesy i wypisane długopisy – wszystko wylądowało w śmieciach. Lodówka była prawie pusta i o dziwo

czysta, bez śladu pleśni czy brzydkiego zapachu. Pozbyłem się masy gratów – większość mebli miała ponad pięćdziesiąt lat, ponieważ dziadka cechowała lekka skłonność do zbieractwa – po czym zatrudniłem różne ekipy do trudniejszych prac. Zleciłem odświeżenie jednej z łazienek, naprawę ciekącego kranu w kuchni, wycyklinowanie i polakierowanie podłóg, odmalowanie pokoi i na koniec, co nie mniej ważne, wymianę tylnych drzwi. Stare pękły przy ościeżnicy i zostały zabite deskami. Gdy sprzątacze wypucowali dom od góry do dołu, zainstalowałem wi-fi i podłączyłem laptopa; kupiłem również trochę mebli do salonu i sypialni oraz nowy telewizor do pokoju wypoczynkowego. Poprzedni odbiornik miał antenę pokojową i rozmiary kufra na skarby. Sklep charytatywny Goodwill odmówił przyjęcia w darze mebli po dziadku – choć argumentowałem, że można je uznać za antyki – wobec tego trafiły na śmietnik.

Ganek i weranda były natomiast w dość dobrym stanie i tam najchętniej spędzałem poranki i wieczory, co doprowadziło do tego, że postanowiłem rozrzucić kulki na mole. Wiosna w południowych stanach to nie tylko kwiaty, pszczoły miodne i śliczne zachody słońca, zwłaszcza gdy się mieszka nad rzeką wśród niemal dzikiej przyrody. Ponieważ ostatnio było cieplej niż zazwyczaj, z zimowego snu zaczęły się budzić węże. Rankiem, gdy wyszedłem z kawą na werandę, dostrzegłem duży okaz. Tak się przestraszyłem, że rozlewając kawę na koszulę, pognałem do domu.

Nie miałem pojęcia, jaki to gatunek ani czy jest jadowity.

Nie znam się na węzach. Ale w odróżnieniu od wielu osób nie zamierzałem – podobnie jak postąpiłby mój dziadek – stworzenia zabić. Chciałem tylko, żeby trzymało się z dala od mojego domu i gdzieś tam sobie żyło. Wiem, że węże są pożyteczne: na przykład polują na myszy, których chrobot słyszałem nocą w ścianach. Dostałem gęszej skórki; choć w dzieciństwie spędzałem tu każde lato, nie jestem przyzwyczajony do życia na wsi. Zawsze uważałem się za mieszczucha, bo rzeczywiście nim byłem, aż do eksplozji, która rozwaliła nie tylko cały mój świat, lecz również mnie samego. Przede wszystkim z tego powodu przebywałem na rekonwalescencji – o tym jednak opowiem później.

Na razie wróćmy do węża. Przebrałem się w czystą koszulę i mgliście przypomniałem sobie, że dziadek odstraszał węże, stosując kulki na mole. Świącie wierzył, że naftalina ma magiczną moc odstraszania nietoperzy, myszy, robaków i węży, i w hurtowych ilościach kupował ten środek. W stodole zauważyłem spory zapas, co upewniło mnie, że dziadek miał powód, by to robić. Wobec tego chwyciłem pudełko i zabrałem się do obfitego rozrzucania kulek na ziemię dokoła domu; zacząłem od tyłu, a skończyłem od frontu.

Wtedy znowu zauważyłem tę młodą dziewczynę, jak wlecze się drogą. Miała na sobie džinsy i T-shirt. Pewnie musiała wyczuć, że na nią patrzę, bo zerknęła w moją stronę. Nie uśmiechnęła się ani nie pomachała ręką, tylko spuściła głowę, jakby chciała mnie zignorować.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem do pracy, o ile można tak nazwać rozrzucanie kulek na mole. Nie wiedzieć czemu,

pomyślałem o osiedlu przyczep, gdzie dziewczyna mieszkała. Znajdowało się na końcu drogi, może półtora kilometra stąd. Niedługo po przeprowadzce zaszedłem tam, wiedziony ciekawością, bo za mojej ostatniej bytności w New Bern jeszcze go nie było. Chciałem zobaczyć, kim są moi nowi sąsiedzi. W pierwszej chwili stwierdziłem, że w porównaniu z tym miejscem posiadłość mojego dziadka wygląda jak Tadz Mahal. Na gołej ziemi stało sześć czy siedem wiekowych, rozklekotanych przyczep; w odległym rogu leżały szczątki jeszcze jednej, która spłonęła i został z niej tylko nadtopiony czarny kadłub. Między przyczepami, od jednego pochyłonego drąga do drugiego, rozciągnięto sznury do suszenia bielizny. Chuderlawe kurczaki, poszukujące jedzenia, lawirowały między rozmaitymi przeszkodami w postaci żelastwa i pojazdów ustawionych na klockach, skrzętnie omijając bojowego pitbula, który był przywiązany łańcuchem do starego zderzaka. Pies miał zęby wielkości plastrów bekonu i na mój widok zacząć ujadać tak wściekle, że piana szła mu z pyska. Niedobry piesek, pomyślałem wtedy. Zadałem sobie pytanie, dlaczego ludzie chcą mieszkać w takich warunkach, ale odpowiedź pojawiła się sama. Wracając do domu, poczułem współczucie dla tamtych lokatorów, lecz szybko skarciłem się za snobizm, bo przecież wiedziałem, że szczęście sprzyjało mi w życiu bardziej niż większości ludzi, przynajmniej jeśli chodzi o pieniądze.

– Pan tu mieszka? – rozległ się czyjś głos.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem tę dziewczynę. Zawróciła i teraz stała kilka metrów ode mnie, wyraźnie zachowując

dystans, ale nie aż tak daleko, bym nie widział jasnych piegów na jej białych, niemal przezroczystych policzkach. Na jej rękach dostrzegłem parę siniaków, jak gdyby się o coś uderzyła. Nie była szczególnie ładna i miała w sobie coś niedokończonego, co kazało mi znów pomyśleć, że jest nastolatką. Patrzyła na mnie czujnie, jakby zamierzała uciec, gdybym zbliżył się choćby o krok.

– Teraz tak – potwierdziłem, obdarzając ją uśmiechem. – Ale nie wiem, jak długo zostanę.

– Starszy pan umarł. Ten, co tu mieszkał. Miał na imię Carl.

– Wiem. Był moim dziadkiem.

– Aha. – Wsunęła rękę do tylnej kieszeni. – Dał mi miód.

– Cały dziadek. – Nie miałem co do tego pewności, ale chyba wypadało tak powiedzieć.

– Przychodził jeść do Trading Post – dodała. – Zawsze był miły.

Trading Post należał do Slow Jima. Był to rozwalający się sklep, jakich wiele na Południu, założony jeszcze przed moimi narodzinami. Dziadek zabierał mnie tam, ilekroć go odwiedzałem. Sklep miał zadaszony ganek i powierzchnię garażu na trzy samochody. Można było kupić tam wszystko, od benzyny po jajka i mleko, sprzęt rybacki, żywą przynętę i części samochodowe. Na zewnątrz stały przestarzałe dystrybutory paliwa – płatność tylko gotówką – a w środku był grill z daniami na ciepło. Pamiętam, że pewnego razu natrafiłem na pudełko z plastikowymi żołnierzkami, wetknięte między pianki cukrowe a haczyki wędkarskie. Towary na półkach i na ścianach były

wystawione bez ładu i składu, ale i tak zawsze uważałem, że jest to jeden z najfajniejszych sklepów, jakie znam.

– Pracujesz tam?

Kiwnęła głową i spojrzała na pudełko, które trzymałem w ręce.

– Dlaczego rozrzuca pan te kulki?

Zaskoczony jej pytaniem, nagle uświadomiłem sobie, co robię.

– Dziś rano widziałem na werandzie węża. Podobno odstrasza ją kulki naftaliny.

Dziewczyna ściągnęła usta i zrobiła krok w tył.

– Aha. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy teraz pan tu mieszka.

– Tak, to mój dom. A tak w ogóle nazywam się Trevor Benson.

Spojrzała na mnie bacznie. Pewnie zbierała się w sobie, żeby zadać mi oczywiste pytanie.

– Co się panu stało w twarz?

Wiedziałem, że chodzi jej o cieką bliznę, która ciągnęła się od linii włosów do szczęki. To bezpośrednie pytanie jeszcze bardziej przekonało mnie, że jest nastolatką. Dorośli nie mieliby śmiałości o tym wspomnieć i udawaliby, że nic nie widzą.

– Pocisk moździerzowy, kilka lat temu w Afganistanie.

– O rany. – Potarła nos wierzchem dłoni. – Bolało?

– Tak.

– O rany – powtórzyła. – Chyba już pójdę.

– Okay.

Ruszyła w stronę drogi, ale po chwili odwróciła się gwałtownie.

- To nic nie da! – krzyknęła.
- Co nic nie da?
- Te kulki. One nie działają na węże.
- Jesteś pewna?
- Wszyscy to wiedzą.

Przekonaj mojego dziadka, pomyślałem.

- To co mam zrobić, żeby węże nie włąziły na werandę?
- Może powinien pan zamieszkać tam, gdzie nie ma węży – odpowiedziała po chwili namysłu.

Roześmiałem się. Dziwna z niej była dziewczyna, bez dwóch zdań. Nagle uprzytomniłem sobie, że roześmiałem się pierwszy raz od czasu, kiedy tutaj zamieszkałem, a może nawet pierwszy raz od miesiący.

- Cieszę się, że cię poznałem.

Odprawdzałem ją wzrokiem, gdy ku mojemu zdziwieniu ponownie się odwróciła.

- Mam na imię Callie! – krzyknęła.
- Miło mi, Callie!

Kiedy zniknęła za azaliami, ogarnęły mnie wątpliwości, czy warto dalej rozrzucać te kulki na mole. Może dziewczyna miała rację, a może nie. W końcu uznałem, że na dziś wystarczy. Chciałem napić się lemoniady i odpocząć na werandzie, choćby dlatego, że psychiatra radził mi dużo odpoczywać, dopóki mam na to czas.

Uważał, że dzięki temu będzie mi łatwiej wystrzegać się

„Ciemności”.

\*

Mój psychiatra czasem używał kwiecistych wyrażań, jak na przykład „Ciemność”, mając na myśli PTSD, czyli zespół stresu pourazowego. Kiedy zapytałem, dlaczego tak mówi, odrzekł, że każdy pacjent jest inny i zadaniem lekarza jest znalezienie słów, które precyzyjnie opiszą odczucia i nastroje pacjenta i pomogą mu z czasem dojść do zdrowia. Pracując ze mną, posługiwał się takimi słowami jak „zamęt”, „sprawa”, „zmaganie się”, „efekt motyla”, „dysregulacja emocjonalna”, „nadwrażliwość na bodźce”, no i oczywiście „Ciemność”. Wprowadzały urozmaicenie do naszych sesji, a Ciemność odzwierciedlała moje doznania równie dobrze jak pozostałe słowa. Przez długi czas po wybuchu miałem mroczne myśli, czarne jak nocne niebo bez gwiazd i księżycy, choć nie do końca zdawałem sobie sprawę, dlaczego tak mnie dręczą. Z początku uparcie zaprzeczałem chorobie, no bo przecież zawsze byłem uparciuchem.

Szczerze mówiąc, w tamtym czasie całkowicie zrozumiałe było dla mnie to, że wpadam w gniew, mam depresję i cierpię na bezsenność. Ilekroć patrzyłem w lustro, wracało wspomnienie tego wszystkiego, co się wydarzyło na lotnisku w Kandaharze dziewiątego września 2011 roku, kiedy pocisk wycelowany w szpital, gdzie pracowałem, spadł opodal wejścia do budynku, zaledwie kilka sekund po tym, jak stamtąd wyszedłem. Mówię to z pewną ironią, ponieważ oglądanie się w lustrze nie jest tym samym, czym było dla mnie dawniej. Wybuch mnie oślepił i w



rezultacie utraciłem w prawym oku zdolność postrzegania głębi. Patrząc na siebie, mam wrażenie, jakbym widział popularny niedyś wygaszacz ekranu komputera z rybkami pływającymi w akwarium – wyglądają jak prawdziwe, ale nie całkiem – i nawet gdybym zdołał sobie jakoś z tym poradzić, moje pozostałe obrażenia rzucałyby się w oczy niczym samotna flaga na szczycie Mount Everestu. O bliźnie na twarzy już wspomniałem, a klatka piersiowa, poraniona odłamkami, wyglądała jak kratery na Księżycu. Straciłem dwa palce, mały i serdeczny lewej ręki – bardzo niefortunnie, bo jestem leworęczny – i do tego jeszcze lewe ucho. Trudno uwierzyć, ale ten defekt urody drażnił mnie najbardziej. Ludzka głowa wygląda nienaturalnie bez ucha. Miałem dziwne wrażenie, że stoję krzywo, i dopiero po wypadku doceniłem fakt posiadania ucha. Dawniej, jeśli zdarzyło mi się myśleć o uszach, to tylko w związku z tym, że pozwalają słyszeć dźwięki. Gdy jednak pomyśli się na przykład o noszeniu okularów przeciwsłonecznych, łatwo zrozumieć, dlaczego brak ucha był dla mnie tak dotkliwy.

Nie mówiłem jeszcze o urazach kręgosłupa, które spowodowały, że musiałem na nowo uczyć się chodzić, ani o dudnieniu w głowie, które utrzymywało się przez wiele miesięcy. Wszystko razem sprawiło, że fizycznie byłem wrakiem człowieka. Ale dobrzy lekarze z Wojskowego Centrum Medycznego Waltera Reeda jakoś mnie poskładali. Przynajmniej w znacznej mierze. Gdy tylko stanąłem na nogi, zostałem wysłany do Uniwersyteckiego Szpitala Johnsa Hopkinsa, przy mojej dawnej Alma Mater, i tam przeprowadzono operacje plastyczne. Teraz

mam zrekonstruowane ucho – tak doskonale, że nawet mnie nie wydaje się sztuczne – oko również wygląda normalnie, choć żaden z niego pożytek. Palców nie odzyskałem – bo już użyłyśmy afgańską ziemię – natomiast bliznę na twarzy udało się chirurgowi zwęzić do cienkiej białej kreski. Jest dostrzegalna, ale nie aż tak, żeby małe dzieci krzyczały z przerażenia na mój widok. Lubię myśleć, że dodaje mi charakteru, że w tym uprzejmym i czarującym mężczyźnie, jakim widzą mnie ludzie, tkwi siła i odwaga, albowiem doświadczył prawdziwych niebezpieczeństw i przetrwał. Coś w tym rodzaju.

Niemniej jednak razem z moim ciałem rozwalilo się całe moje życie, także zawodowe. Nie wiedziałem, czym się będę zajmował w przyszłości. Nie umiałem radzić sobie z natrętnymi wspomnieniami, bezsennością, wybuchami gniewu z byle powodu i wieloma innymi dziwacznymi objawami stresu pourazowego. Byłem w coraz gorszym stanie, aż sięgnąłem dna – wystarczy wspomnieć o czterodniowym ciągu alkoholowym, po którym obudziłem się we własnych wymiocinach – i w końcu uznałem, że muszę szukać pomocy. Skontaktowałem się z psychiatrą, doktorem Erikiem Bowenem, specjalistą od CBT i DBT, czyli terapii poznawczo-behawioralnej i terapii dialektyczno-behawioralnej. W istocie i jedna, i druga skupiają się na zachowaniach, które mają pomóc ci panować nad myślami i emocjami. Jeżeli jesteś przybity, zmusz się, żeby stanąć prosto; jeżeli przytłacza cię trudne zadanie, spróbuj złagodzić to odczucie, podejmując prostsze zadania, którym podołasz, na przykład zrób pierwszy łatwy krok, a potem wykonaj następną

prostą rzecz.

Zmiana zachowań wymaga wiele pracy – co więcej, w obu terapiach porusza się jeszcze inne kwestie – mimo to powoli, ale jednak wziąłem się w garść. Wtedy zacząłem myśleć o przyszłości. Zastanawialiśmy się z doktorem Bowenem nad różnymi opcjami kariery i w końcu zdałem sobie sprawę, że tęsknię za wykonywaniem zawodu lekarza. Skontaktowałem się z Uniwersyteckim Szpitalem Johnsa Hopkinsa i złożyłem podanie o drugą rezydenturę. Tym razem z psychiatrii. Doktorowi Bowenowi chyba to schlebiło. Krótko mówiąc, tu i ówdzie pociągnięto za sznurki – może dlatego, że dawniej tam pracowałem, a może dlatego, że byłem niepełnosprawnym weteranem wojennym – i w drodze wyjątku wyrażono zgodę. Przyjęto mnie na rezydenturę z psychiatrii, od lipca. Niedługo po otrzymaniu pozytywnej decyzji dowiedziałem się, że mój dziadek miał udar. Przebywał w Easley, w Karolinie Południowej, w miejscowości, o której nigdy nie wspominał. Polecono mi szybko przyjechać do szpitala, ponieważ dziadkowi nie pozostało wiele życia.

Nie potrafiłem pojąć, dlaczego tam się znalazł. O ile wiedziałem, od lat nie opuszczał New Bern. Kiedy dojechałem na miejsce i odszukałem jego pokój, już ledwie mówił. Powoli wykrztuszał pojedyncze słowa, ale i tak trudno było go zrozumieć. Mówił jakieś dziwne rzeczy, które sprawiały mi przykrość, choć nie brzmiały sensownie, a jednocześnie nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że przed odejściem chce mi przekazać coś ważnego.

Ponieważ nie miał innych żyjących krewnych, do mnie należało zorganizowanie pogrzebu. Byłem pewny, że chciał zostać pochowany w swoim rodzinnym New Bern. Poleciłem, by przewieziono go tam, zamówiłem skromną ceremonię przy grobie, w której uczestniczyło więcej osób, niżbym się spodziewał, i spędziłem dużo czasu w domu dziadka, wędrując po posiadłości i zmagając się ze smutkiem i poczuciem winy. Ponieważ moich rodziców pochłaniało ich własne życie, jako dziecko wyjeżdżałem niemal na każde letnie wakacje do New Bern. Po pogrzebie tęsknota za dziadkiem ścisnęła mnie tak mocno, jakbym tkwił w szczękach imadła. Był zabawny, mądry i dobrotliwy; sprawiał, że czułem się starszy i bystrzejszy, niż byłem w rzeczywistości. Kiedy miałem osiem lat, dał mi pociągnąć swoją fajkę wykonaną z kolby kukurydzy; nauczył mnie łowić ryby na muchę; pozwalał mi pomagać, gdy naprawiał silnik. To od dziadka dowiedziałem się wszystkiego o pszczołach i pszczelarstwie. Gdy byłem nastolatkiem, powiedział mi, że pewnego dnia spotkam kobietę, która na zawsze zmieni moje życie. „Skąd będę wiedział, że to jest ta właściwa?” – zapytałem. A on odparł, że jeżeli będę miał wątpliwości, to muszę szukać dalej.

Z powodu tego wszystkiego, co się działo po Kandaharze, jakoś tak wyszło, że przez następne kilka lat nie zdołałem odwiedzić dziadka. Wiedziałem, że martwi się stanem mojego zdrowia, ale nie chciałem opowiadać mu o demonach, z którymi walczyłem. I tak było mi piekielnie trudno zwierzać się doktorowi Bowenowi. Choć miałem pewność, że dziadek

by mnie nie osądzał, wolałem utrzymywać dystans. Byłem zdruzgotany, że odszedł, zanim zdołałem odnowić z nim więź. Na dodatek tuż po pogrzebie miejscowy prawnik powiadomił mnie, że odziedziczyłem posiadłość dziadka i w rezultacie stałem się właścicielem domu, w którym przemieszkałem wiele letnich miesięcy, kiedy kształtowała się moja osobowość. Po ceremonii pogrzebowej całymi tygodniami rozmyślałem o tym, czego nie zdążyłem powiedzieć człowiekowi, który darzył mnie bezwarunkową miłością.

Nieustannie wracałem myślami do dziwnych słów, które wyrzekł na łożu śmierci, i głowiłem się, dlaczego w ogóle przebywał w Easley, w Karolinie Południowej. Czy miało to jakiś związek z pszczołami? Czy odwiedzał wieloletniego przyjaciela? Umówił się z kobietą? Te pytania nie dawały mi spokoju. Rozmawiałem na ten temat z doktorem Bowenem, a on radził mi szukać na nie odpowiedzi.

Święta Bożego Narodzenia minęły niezauważenie i po Nowym Roku złożyłem w biurze nieruchomości ofertę sprzedaży mojego mieszkania, zakładając, że minie kilka miesięcy, zanim sfinalizuję transakcję. A tu, proszę bardzo, po kilku dniach trafił się nabywca i w lutym sprawa została zamknięta. Ponieważ miałem w planach przeprowadzić się do Baltimore i rozpocząć rezydenturę, nie warto było szukać tymczasowego mieszkania. Stwierdziłem, że mogę wynieść się z Pensacoli i zamieszkać w domu dziadka w New Bern, czemu nie?

Może doprowadziłbym ten stary dom do porządku i

wystawił go na sprzedaż. Przy odrobinie szczęścia może nawet wyjaśniłoby się, dlaczego dziadek przebywał w Easley i co, u licha, chciał mi przekazać przed śmiercią.

Oto dlaczego rozrzucałem teraz kulki naftaliny wokół tej zapuszczonej starej chałupy.

\*

Tak naprawdę to nie lemoniady chciałem się napić na werandzie. Lemoniadą dziadek nazywał piwo. Kiedy byłem mały, jedną z wielkich przyjemności mojego życia było przynoszenie mu lemoniady z lodówki. Co dziwne, na butelce zawsze widniała etykieta Budweisera.

Ja wolę yuengling z najstarszego browaru w Ameryce. Pierwszy raz piłem to piwo, gdy uczyłem się w Akademii Marynarki Wojennej i poczęstował mnie jeden ze starszych kadetów, niejaki Ray Kowalski. Pochodził z Pottsville w Pensylwanii, gdzie mieści się siedziba tego browaru, i uważał, że nie ma lepszego piwa. Co ciekawe, Ray był synem górnika i kiedy ostatni raz o nim słyszałem, odbywał służbę na USS *Hawaii*, okręcie podwodnym z napędem atomowym. Zapewne ojciec powtarzał mu, że gdy człowiek jest w pracy, przecenia wagę światła słonecznego i świeżego powietrza.

Zadaję sobie pytanie, jak na moje obecne życie patrzyliby moi rodzice. Ostatecznie od ponad dwóch lat nie pracuję. Tata z pewnością byłby zbulwersowany; miał w zwyczaju prawić mi kazania, gdy na egzaminach dostawałem piątkę z minusem, i z przykrością przyjął wiadomość, że wolę pójść do Akademii

Marynarki Wojennej niż na Uniwersytet Georgetown, jego Alma Mater, czy Yale, gdzie ukończył studia prawnicze. Dzień w dzień budził się o piątej rano, czytał przy kawie „Washington Post” i „New York Times”, po czym jechał do Waszyngtonu, gdzie pracował jako lobbysta na rzecz firmy lub zrzeszenia branżowego, które akurat go zatrudniało. Miał bystry umysł, był ostrym negocjatorem i potrafił cytować z pamięci całe paragrafy kodeksu podatkowego, co owocowało tym, że treść jego życia stanowiło zawieranie kontraktów. Był jednym z sześciu partnerów w kancelarii mającej do dyspozycji ponad dwustu prawników, a ściany jego gabinetu były obwieszane fotografiami, na których stał u boku trzech różnych prezydentów, szóstki senatorów i tak wielu kongresmenów, że trudno ich zliczyć.

Tata nie tylko tak po prostu pracował – praca była jego hobby. Przesiadywał w kancelarii przez siedemdziesiąt godzin w tygodniu, a w weekendy umawiał się na golfa z klientami i politykami. Raz w miesiącu wydawał w naszym domu przyjęcie koktajlowe dla kolejnych klientów i polityków. Wieczorami często zamykał się w gabinecie, żeby odbyć niecierpiące zwłoki rozmowy telefoniczne, napisać sprawozdanie lub zaplanować kampanię. W głowie nie powstałaby mu myśl, że wczesnym popołudniem można wałkonić się na werandzie i popijać piwo. Czegoś takiego spodziewałby się po leniu patentowanym, ale nie po jednym z Bensonów. Twierdził, że nie ma nic gorszego, niż być leniem.

Choć nie nazwałbym go opiekuńczym, nie był złym ojcem. Uczciwie mówiąc, mama też nie była osobą, która piecze

ciasteczka i udziela się w Komitecie Rodzicielskim. Z zawodu neurochirurg, z praktyką w Uniwersyteckim Szpitalu Johns Hopkinsa, często miała dyżury; praca była jej pasją i siłą napędową, tak jak w przypadku mojego ojca. Dziadek mawiał, że była taka od dziecka – umniejszając fakt, że pochodziła z małego miasta i jej rodzice nie mieli wyższego wykształcenia. Nigdy nie wątpiłem, że rodzice mnie kochają, nawet jeśli co wieczór zamawialiśmy jedzenie na wynos i jako nastolatek częściej bywałem na przyjęciach koktajlowych niż na rodzinnych wyprawach pod namiot.

Tak czy owak, nasza rodzina nie odróżniała się niczym szczególnym od innych rodzin w Alexandrii. W mojej elitarnej szkole prywatnej wszyscy mieli zamożnych rodziców na wysokich stanowiskach, którzy wpoili dzieciom dążenie do doskonałości i sukcesu. Znakomite wyniki w nauce były normą, ale to nie wystarczało. Dzieci miały wyróżniać się także w sporcie lub w sztuce, najlepiej na obu polach, a do tego cieszyć się popularnością wśród rówieśników. Muszę przyznać, że też dałem się w to wciągnąć; od pierwszego roku nauki w szkole średniej chciałem być... taki jak oni. Chodziłem z popularnymi dziewczynami, zdałem maturę jako drugi w klasie, przez wszystkie lata występowałem w drużynie piłkarskiej na rozgrywkach stanowych i dobrze grałem na pianinie. W Akademii Marynarki Wojennej przez całe cztery lata należałem do drużyny piłkarskiej, skończyłem dwa kierunki studiów jako główne: chemię i matematykę, i miałem na tyle dobre wyniki z egzaminów, że przyjęto mnie na medycynę na Uniwersytecie



Johnsa Hopkinsa, czym chlubiłaby się moja mama.

Rodzice, niestety, nie uczestniczyli w ceremonii wręczenia mi dyplomu. Nie lubię wracać myślami do tamtego wypadku i nie lubię o nim mówić. Gdy wspomnę o nim, ludzie zazwyczaj nie wiedzą, jak się zachować, rozmowa zaczyna kuleć, a ja najczęściej czuję się jeszcze gorzej, niż gdybym nic nie mówił.

Z drugiej strony, przychodzi mi czasem na myśl, że po prostu nie powiedziałem o tym właściwej osobie, a może tej osoby w ogóle nie było w towarzystwie. No bo przecież ktoś powinien okazać współczucie, prawda? Mogę natomiast stwierdzić, że pogodziłem się z faktem, że życie nigdy nie toczy się zgodnie z naszymi oczekiwaniami.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).